

Świat na opak

31 grudnia 2022

„Roszczeniowcy”, „patologia”, „pracodawcy”, a nawet „Polacy” – w języku neoliberalnej propagandy wszystkie te pojęcia są zakłamane, używane sprzecznie z ich właściwym znaczeniem.

Słowa sprawiają, że widzimy świat na opak. Kiedy za rządów koalicji PO-PSL ludzie zaczęli kupować mniej żywności, w liberalnych mediach pojawiły się wyjaśnienia w stylu „ostrożniej dobieramy produkty”. Ostatnio słuchałem wypowiedzi osoby niewątpliwie szlachetnej i zaangażowanej o problemie opiekunów osób starszych, chorych, niesamodzielnych. Stwierdziła ona, że „nie każdego stać na wynajęcie opiekunki”. A w prawdziwym świecie mało kogo stać na taki wydatek.

Język neoliberalnej propagandy jest tak głęboko wdrukowany w umysły, że problemów społecznych albo nie ma w nim wcale, albo mają dotyczyć tylko niewielkiej mniejszości. Większość bowiem ma się dobrze, co wynika z nagłówek w prasie: „Polacy inwestują w mieszkania, jeżdżą na Malediwy, wykupują ostatnie modele luksusowych aut”. Niewątpliwie, dużą część mieszkań jako inwestycji wykupują Polacy, tyle że jest to absolutna mniejszość. Generalizacja „Polacy” sugeruje, że większość z nas inwestuje i pławi się w luksusie.

Polacy to robią

To, że Polacy inwestują, jest prawdą tak samo jak to, że Polacy grzebią w śmietnikach, mieszkają na działkach, nie dojadają. Jedno i drugie robią Polacy i za każdym razem jest to mniejszość, dlatego pisanie „Polacy” jest kłamstwem, nadużyciem, wprowadzaniem w błąd, budowaniem sztucznego horyzontu.

Elementem sztucznego horyzontu jest też dość rozpowszechnione przekonanie, że aby uniknąć biedy, wystarczy założyć interes:

słynne „zausz firmę”. Jednak z badań wynika, że tylko 10 proc. startupów odnosi sukces, reszta upada. Podaje się różne przyczyny tych niepowodzeń – zły model biznesowy, brak kapitału, dekoniunktura. Najważniejsza jest jednak pomijana. Nie wszyscy możemy zostać przedsiębiorcami, bo na każdego biznesmena musi przypadać jakaś liczba pracowników. Pojęcie startupu kojarzy się z innowacyjnością, wprowadzaniem na rynek nowych usług czy towarów. Ale najpowszechniejszy pomysł na własny biznes jest niezbyt innowacyjny – to sklep. Sęk w tym, że sklepy detaliczne padają jak muchy pod presją sieciówek.

Małe firmy bronią się przed tą presją, zwiększając wyzysk pracowników. Kiedy ktoś ten wyzysk krytykuje, spotyka się z agresywnym pytaniem: a ile osób zatrudniasz? Ilu osobom dajesz pracę? Ten sposób postawienia sprawy sugeruje, że pracodawca jest dobroczyńcą dla ludzi, których zatrudnia. Tymczasem można odwrócić to pytanie: ile osób na ciebie pracuje? Ilu tyra na dobrobyt twój i twojej rodziny?

Krwiodawca i krwiopijca

Samo pojęcie „pracodawcy” jest dość niefortunne, bo sugeruje, że właściciel kapitału coś pracownikom daje, a oni coś od niego biorą. To przypomina mi dowcip z początku transformacji: „w Niemczech dają po Mercedesie! Naprawdę? Tak, do umycia”. Nie trzeba być marksistą, a nawet ekonomistą, żeby wiedzieć, że płaca nigdy nie jest tyle warta co wykonana za nią praca. Są więc i tacy, którzy uważają, że używać terminu „pracodawca” to jak pomylić krwiodawcę z krwiopijcą.

W świecie neoliberalnych pojęć interes pracowniczy w ogóle nie jest przedmiotem debaty. „Dobra zmiana” mówi zaś co najwyżej o rodzinach. Najważniejsze jest jednak zapewnienie przetrwania firmom. A przecież – wbrew propagandzie – powodzenie biznesu nie oznacza automatycznie lepszej sytuacji „polskich rodzin”.

Klasycznym przykładem jest obniżenie VAT-u na żywność. Chodziło o to, by w dobie kryzysu rodziny mniej wydawały na

jedzenie. Premier apelował więc do handlowców, by obniżyli ceny o wartość zmniejszonego podatku VAT. Niestety, bez skutku. Na obniżce VAT-u skorzystały niemal wyłącznie wielkie sieci handlowe. Czy premier Morawiecki nie wiedział, że tak będzie? Musiał wiedzieć. Zrobił prezent właścicielom kapitału, udając, że pomaga rodzinom. Majstersztyk propagandowy godny liberała.

Język dyskursu publicznego ustalają panujące elity. Dopiero od niedawna ukazują się coraz więcej książek historycznych pisanych z innej, ludowej perspektywy: „ludowe historie” Polski czy Stanów Zjednoczonych. To spóźniona reakcja na fakt, że dotychczas opowiadano dzieje z perspektywy pałaców, zamków i katedr, a nie chat. A przecież większość żyła pod strzechą i o tej większości historia na ogół milczała.

Pierwsza taka książka, jaka wpadła mi w ręce, to *Otwarte żyły Ameryki łacińskiej* urugwajskiego pisarza Eduardo Galeano. Opisywał w niej dzieje kontynentu z punktu widzenia ludności rdzennej, w szczególności kobiet. Kiedy chodziłem do szkoły podstawowej na Kubie, uczono mnie historii pisanej przez konkwistadorów – podbijających, a nie podbijanych. Dlatego do dziś pamiętam, że te trzy karawele nazywały się *La Niña*, *La Pinta* i *Santa María*. To samo opowiadał na spotkaniu w Wiedniu Hugo Chávez, metys, który został prezydentem Wenezueli. On też rysował w szkole te trzy karawele – ale tę kolonialną historię odrzucił.

Z perspektywy dworu

Czy my będziemy umieli się rozprawić ze szlacheckim spojrzeniem na historię? Dzisiejsza neoliberalna propaganda sukcesu jest prostą kontynuacją widzenia świata z perspektywy szlacheckiego dworu.

Pamiętacie ze szkoły *Satyre* na leniwych chłopów? „Gdy dzień panu robić mają / Częstokroć odpoczywają” – pisze anonimowy szlachcic w XV wieku z oburzeniem, że kmiecie nie przykładają

się do odrabiania pańszczyzny. Ten protekcyjny i srogi stosunek do ludzi pracy niewiele się zmienił, pańszczyzna przybrała tylko inną formę. Jak słusznie pisał Karol Marks, tylko niewielka część czasu pracy jest opłacana płacą roboczą; większość czasu pracujemy za darmo – i to jest właśnie współczesna pańszczyzna.

Kiedy ci na dole domagają się wyższych płac, zasiłków, mieszkań, oskarża się ich o roszczeniowość. W latach 90. zauważyłem rozpaczliwy napis na murze w Przemyśle: „Żądamy czegokolwiek”. Postawa roszczeniowa ma być synonimem odziedziczonej po komunie bierności, przeciwstawianej przedsiębiorczości. Ale kiedy biznes zawyje, że czegoś chce, najczęściej niższych podatków i budżetowych dotacji, nikt nie śmie nazwać tego postawą roszczeniową. Tymczasem nie ma w Polsce grupy bardziej roszczeniowej niż przedsiębiorcy właśnie.

Kmiotom wara!

Kolejnym „reliktem komuny”, który zwalczają rumakujący w mediach ludzie ze stajni Balcerowicza, jest „rozdawnictwo”. Rozdawnictwem jest jakikolwiek transfer socjalny, redystrybucja budżetowa, zasiłek rodzinny czy dodatek węglowy. Ale wielomilionowa odprawa dla menadżera bogatej spółki to już nie rozdawnictwo, podobnie jak sześciocyfrowe zarobki gwiazdorów medialnych znanych z tego, że są znani. Bo szlachcie się należy, a kmiotom wara.

Na początku transformacji poznałem człowieka, który pracował w ochronie bogatego, grodzanego osiedla. Sam mieszkał w kanale ciepłowniczym, a całą niemal pensję wysyłał rodzinie z popegeerowskiej wsi. Przypomniałem sobie o nim po obejrzeniu koreańskiego arcydzieła filmowego Parasite. Części znajomych mojej córki nie mieści się w głowie, jak można nie mieć zmywarki i palić w piecu, żeby ogrzać mieszkanie. Ludzie, którym brakuje dóbr i wygod, które są standardem dla

wielkomiejskiej klasy średniej z Wilanowa, bywają uważani za „patologię”.

Patologią nie jest więc to, że w mieście, gdzie wiele osób nie ma w mieszkaniu łazienki czy ubikacji, wydaje się garściami pieniądze na zaspokojenie kaprysów klasy średniej – takich jak choćby most rowerowo-pieszy przez Wisłę. Patologią nie jest system, w którym skazuje się ludzi na życie za 719 zł zasiłku stałego z powodu trwałej niezdolności do pracy. Nie sprawcy cierpień, lecz ofiary są „patologiczne”.

Spółecznicy starają się ten dyskurs odwrócić, mówiąc o patodeweloperach czy patoburmistrzach. My, „roszczeniowcy”, nic od was nie chcemy, tylko przestańcie nas okradać przy każdej wypłacie. Bo jak ktoś mądry zauważył, łatwo się mówi o byciu kowalem swego losu, kiedy się odziedziczyło kuźnię po rodzicach.

Autorstwo: Piotr Ikonowicz

Źródło: Trybuna.info